

ONLINE

51

KWIECIEŃ 2009

RECENZJE

ONLINE

51

KWIECIEŃ 2009

Magdalena Boczkowska

Braterski uścisk samuraja

Historia opisana w nowej powieści znanej i niezwykle płodnej (co rok nowa książka!) belgijskiej pisarki – Amélie Nothomb – chronologicznie sytuuje się pomiędzy wcześniejszymi książkami takimi jak: „Metafizyka rur”, w której opisała dzieciństwo w Japonii (pisarka urodziła się tam i mieszkała do piątego roku życia) a „Z pokorą i unizieniem”, w której przypomina okres przepracowany w tokijskiej korporacji. A że Nothomb przyzwyczaiła czytelników do wplatania do literatury wątków autobiograficznych, „Ani z widzenia, ani ze słyszenia” – bo taki tytuł nosi najnowsza proza – przedstawia wydarzenia z lat 1989, kiedy to dwudziestoletnia zaledwie Amélie przyjeżdża do Tokio na studia, do 1992, kiedy ucieka od małżeństwa z Japończykiem i wraca do Belgii. Jednakże to nie tylko historia miłosna czy *quasi*-autobiograficzna, to także powieść o walce o własną tożsamość i o szukaniu swojego miejsca w świecie, przy czym niestety – bliżej jej do słabszego warsztatowo „Antychrysty” niż na przykład do świetnej „Kosmetyki wroga”.

Bohaterka, nosząca imię i nazwisko autorki, poznaje młodego Japończyka – Rinriego, który zgłasza się do niej na lekcje języka francuskiego. Początkowo jest to zwykła znajomość, pełna zabawy i wzajemnego poznawania się, naznaczona wspólnym śmiechem z gaf popełnianych przez obojga. Chcąc na przykład przedstawić Amélie przyjacielowi, Rinri myli wymowę francuskiego słowa *maître* (nauczyciel) z *maîtresse* (kochanka). Potem rzeczywiście kobieta zostaje jego kochanką, tyle tylko, że on naprawdę się zakochuje, ona



natomiast uznaje romans za idealny, bo nie wymagający od niej głębszego zaangażowania. To nie jest prawdziwa miłość, bo Rinri jest za dobry – a jak uważa bohaterka – nie można kochać kogoś, kto nie ma w sobie choć odrobiny zła. I tak na przykład, kiedy przyjeżdża siostra Amélie, para nie widuje się i kiedy potem stęskniony Rinri nalega na spotkanie, kobieta jest zaskoczona, sama bowiem... zapomniała o istnieniu kochanka! Przed związkiem z Japończykiem przestrzegają ją zresztą znajomi. Koleżanka ze studiów mówi: „uważaj. Z takich związków rodzą się okropne dzieci. – Co ty opowiadasz? Eurazjaci są fantastyczni. – Ale wredni. Mam przyjaciółkę, która wyszła za mąż za Japończyka. Mają dwoje dzieci, cztery i sześć lat. Mówią na swoją matkę siusiu, a na ojca kupka” (s.119). Kobieta przyjmuje w końcu oświadczenie Rinriego, ale robi to nieświadomie, dając się nabrać na dziwny japoński zwyczaj zadawania pytań przez zaprzeczenie. „Musiał mnie zapytać – dochodzi do wniosku Amélie – *nadal nie chcesz za mnie wyjść?* A ja odpowiedziałam w stylu zachodnim. Po północy mam tę irytującą przypadłość, że staję się wyznawczynią Arystotelesa. To było straszne. Wystarczająco dobrze się znałam, by wiedzieć, że nie zdobędę się na sprostowanie i wyjawienie prawdy. Niezdolna sprawić przykrość komuś miłemu, poświęcę sama siebie, byle go nie rozczarować” (s. 137). Kobieta podejmuje więc dramatyczną decyzję – ucieka do Belgii, mówiąc ukochanemu, że chce tylko odwiedzić rodzinę. Rinri początkowo regularnie do niej dzwoni, z czasem jednak zaczyna wszystko rozumieć i telefony są coraz rzadsze. Amélie tymczasem odżywa – mieszka z siostrą i poświęca się temu, co kocha najbardziej na świecie – pisaniu. Wkrótce ukazuje się jej pierwsza powieść, „Higiena mordercy”. Powieść staje się *bestsellerem*, a autorka jest zapraszana na spotkania promocyjne na całym świecie, także do Tokio, w którym nadal mieszka Rinri. Tak pokrótce można streścić fabułę książki. Jednak wątek miłosny nie jest tu najważniejszy.

Styl pisarski Nothomb jest zawsze niemal pedantyczny, oszczędny w słowa, przy czym każde jest dokładnie przemyślane i wyczelowane, a opowiadane historie niezwykle realistyczne, autorka często także kpi z samej siebie. I jest tak również w „Ani z widzenia, ani ze słyszenia”. Dwudziestoletnia Amélie chce być Japonką. Wspina się na Górę Fudzi, wierząc w legendę, mówiącą, że tylko prawdziwy Japończyk, godny tego miana, jest w stanie wspiąć się na Fudzi. Święta Góra pomaga także bohaterce w czasie innej wspinaczki, kiedy to „grozi jej kociołek Yamamby” – Yamamba była czarownicą z japońskich wierzeń, robiącą zupę z samotnych wędrowców. Amélie czuje się wówczas w swoim żywiole, wierzy, że mogłaby zostać w Japonii, u

podnóża Fudzi, już na zawsze. Kocha ten kraj, ludzi, ich zwyczaje, akceptuje małe dziwactwa, jak choćby dokładny prysznic przed wejściem do wanny, a niektóre typowe zachowania bardzo ją bawią, na przykład, gdy Amélie pyta Rinriego, co Japończycy sądzą o papieżu, ten odpowiada, że nic. Od tej pory, kiedy tylko bohaterka widzi w telewizji papieża, nasuwa jej się tylko jedna myśl: „oto człowiek, na temat którego sto dwadzieścia milionów Japończyków nic nie myśli” (s. 72). Zresztą sama pisarka, w wywiadzie udzielonym na łamach „Dziennika” Magdaleny Miecznickiej, wyznaje: „Japonia to kraj mojego najwcześniejszego dzieciństwa, moja mitologia, kraj, który kocham najbardziej na świecie. Długo myślałam, że to jest kraj, który określa moją tożsamość”. Mimo to jednak rezygnuje z tego wszystkiego. Czy spowodował to strach przed miłością? Czy raczej strach, że Rinri nie jest tym jedynym? Jakiegokolwiek były przyczyny ucieczki z Tokio, w Belgii Amélie na nowo odkrywa swój życiowy cel – pisarstwo. Zaczyna rozumieć, że jej związek z Rinrim był tylko „braterskim uściskiem samuraja” (s. 151). W wywiadach Nothomb często mówi o sobie, że jest jak gąbka, która wchłania wszystko, że jej książki są jej dziećmi. Podkreśla również, że opowiadane przez nią historie są zawsze prawdziwe. Jeśli tak jest, to tylko dzięki owemu „uściskowi” (z Rinrim, Japonią, Górą Fudzi) została pisarką.

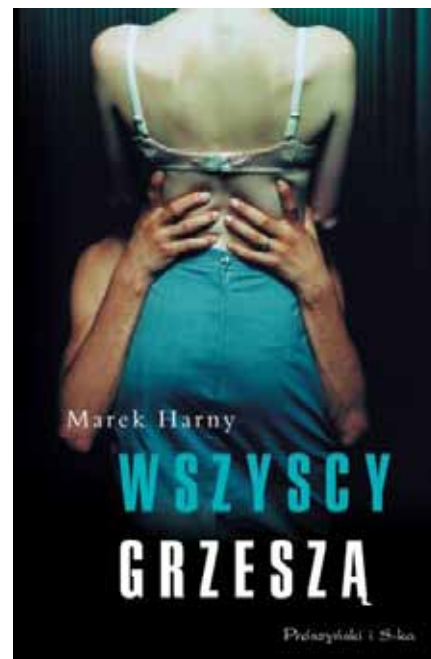
Amélie Nothomb,
Ani z widzenia,
ani ze słyszenia,
przeł. J. Polachowska,
Wyd. Muza,
Warszawa 2008.

Daria Bruszezwska

Wszystkie grzeszki na pocieszki

Nie czytam kryminałów. Nie lubię? Nie wiem. Po prostu współczesna telewizja wystarczająco wyeksploatowała ten gatunek, co skutecznie mnie od niego odpycha. Nie śledzę poczynań detektywów z najróżniejszych seriali, bo nie mam na to ani czasu, ani większej ochoty. Książka Marka Harnego oznaczała więc dla mnie wyzwanie czytelnicze. Musiałam powalczyć z własnymi uprzedzeniami, by od samego początku nie skreślić powieści i nie odstawić jej na półkę. Efekt? Książka przeczytana. I muszę przyznać, że nawet z pewną dozą przyjemności, a nawet (!) zainteresowania.

Ta powieść ma wszystko to, co mieć powinien dobry kryminał. Jest piękna kobieta, która pozostawia po sobie nie tylko piękne zwłoki, ale też niezliczoną ilość pytań, jest kilka epizodów erotycznych, są też wielkie pieniądze i mniejsza polityka w tle. A wszystko to sięga ulubionych przez polskich czytelników czasów i jeszcze raz potwierdza teorię pod tytułem „komunizm żyje w nas i wśród nas”. Nie należy jednak zapominać, że akcja dzieje się bardzo współcześnie. Dlatego niczym słowo – klucz pojawia się „Układ”. Dlatego też zapewne głównym bohaterem jest dziennikarz. Bo kto w kraju nad Wisłą ujawnia afery? Na pewno nie policja. Więc kto? Media albo Rutkowski. Rutkowskiego z przyczyn oczywistych zostawić należy w spokoju. I tak ma za dużo pracy. Z samym sobą przede wszystkim. Pozostaje więc „Pismak”. Ale to nie wszystkie zalety powieści Harnego. Na początku przecież należy docenić już tytuł. Świetny marketingowo. „Wszyscy grzeszą” – przecież o tym wiemy. I uwielbiamy czytać o tym, że każdy, absolutnie KAŻDY ma na swoim sumieniu różnego rodzaju występki.



Czy to może nie wzbudzić zainteresowania?

Intryga, którą na potrzeby czytelników, uknuł Marek Harny, jest bardzo skomplikowana w swojej prostocie. Jakkolwiek to brzmi. Pisarz bowiem nie tylko pozwala wierzyć nam, że wiemy, kto pomógł utopić się pięknej Ricie Koenig, żonie jednego z najbogatszych mężczyzn w Polsce (przecież wiadomo, że to...), ale też szybko naszą pewność wystawia na próbę i po wielokroć każe od nowa analizować sytuację. I choć oczywiście trudno uwierzyć nam w niektóre wątki, a fabuła może wydawać się potwierdzeniem tego, że polscy dziennikarze cierpią na manię prześladowczą (układ, afera, Układ, Afera), to jednak dzięki sprawnej narracji, książka nie robi wrażenia nużącej.

Śledztwo, które czytelnik podejmuje razem z dziennikarzem Adamem Bukowskim i jego kompanami: koleżanką po fachu Dorotą May i byłym policjantem, obecnie szefem ochrony młodszym inspektorem Horoszko, jest nie tylko skrojone na miarę polskich potrzeb, ale też idealnie pasujące do bieżących wydarzeń, których świadkami jesteśmy jako odbiorcy mediów. „Wszyscy grzeszą” to polski kryminał. Nie należy o tym zapominać. A nawet nie można! Sam autor nam przecież na to nie pozwala, dostosowując fabułę do tego, co znamy z przekazów medialnych ostatnich kilku lat. Rzeczywistość miesza się z fikcją już chociażby dzięki temu, że obok „Polityki” i „Przekroju”, na kartach książki pojawia się też „Przyszłość” – brukowiec w czystej postaci, karmiący się sensacją i plotkami. Dlaczego nie dostał tytułu naszego najbardziej popularnego tabloidu? Trudno powiedzieć, bo przecież i „Fakt” pojawia się u Harnego. Tak, jak jest z czasopismami, tak jest i z postaciami. Choć w tym przypadku, autor jest już ostrożniejszy. Jeśli pojawia się komunistyczny generał, to jednak nie Jaruzelski. Jak biznesmen, to nie Kulczyk, Rywin i im podobni, tylko Koenig, który niegdyś zwał się Konikiem, ale po 1989 roku razem z przemianami w Polsce i on się przemianował dostosowując nazwisko do standardów zachodnich.

„Wszyscy grzeszą” to nie tylko kryminał. To także dość wnikliwie opisany stan polskiego dziennikarstwa. Nie da się tego ukryć. Autor nie tylko zwraca uwagę na problemy, które nękają dziennikarzy, ale też przybliżył sytuację, jaka panuje na polskim rynku medialnym. Harny ukazuje podziały pomiędzy dziennikarzami jako grupą zawodową, obnaża także największą słabość polskich mediów – uwikłanie w politykę, brak niezależności. W sposób bardzo obrazowy udaje się opisać pisarzowi mechanizmy funkcjonowania tabloidu, bo kiedy „nadarzała się okazja, żeby podnieść sprzedaż „Przyszłości” o ładnych parę

tysięcy egzemplarzy” i „przy okazji przystroić się w pióra pisma walczącego z gangreną toczącą świat polskiego biznesu”, to naczelna brukowca nie miała żadnych oporów, by zażądać od dziennikarza, by przyniósł jej należącą do biznesmena „głowę razem z jajami”. Rywalizacja pomiędzy redakcjami nieuchronnie wydaje się prowadzić do załamania psychicznego nawet najbardziej odpornych „Pismaków”, a syndrom wypalenia można uznać za jedną z głównych dziennikarskich chorób zawodowych. Na pochwałę jednak zasługuje fakt, że wszystkie te spostrzeżenia autor czyni niejako „przy okazji” i nie poświęca im za dużo miejsca.

To, co może przeszkadzać w powieści to sama postać dziennikarza Bukowskiego. Z jednej strony nie jest cukierkowaty, ma to i owo za kołnierzem, ale jednocześnie pozostaje „ostatnim sprawiedliwym”. I chociaż oczywiście można uznać, że to taka konwencja, że „detektyw” musi przypominać bohatera z komiksu, to jednak jest to dość irytujące. Przede wszystkim dlatego, że można mieć wrażenie, że Harny, który sam jest przecież dziennikarzem, stara się na postać Bukowskiego przenieść swoje cechy, a może nawet się nieco, jak to się dziś mówi, „wylansować”? Postać wydaje się papierowa.

„Wszyscy grzeszą”. Wszyscy. Może więc i ja zgrzeszę grzechem niedomówienia lub nieściłości, jeśli powiem, że książka jest, mimo wszystko, warta uwagi. No cóż. . . Zaryzykuję. Ci, którzy lubią kryminały i tak przeczytają nową powieść autora, który zdobył już kilka poważnych nagród, a ci którzy nie lubią? Tym którzy nie lubią, polecam lekturę pod ciepłym kocem i z kubkiem gorącej herbaty. Z hibiskusa na przykład. Taką pijał detektyw Horoszko. . .

Marek Lubaś-Harny,
Wszyscy grzeszą,
Wyd. Prószyński i S-ka,
Warszawa 2008.

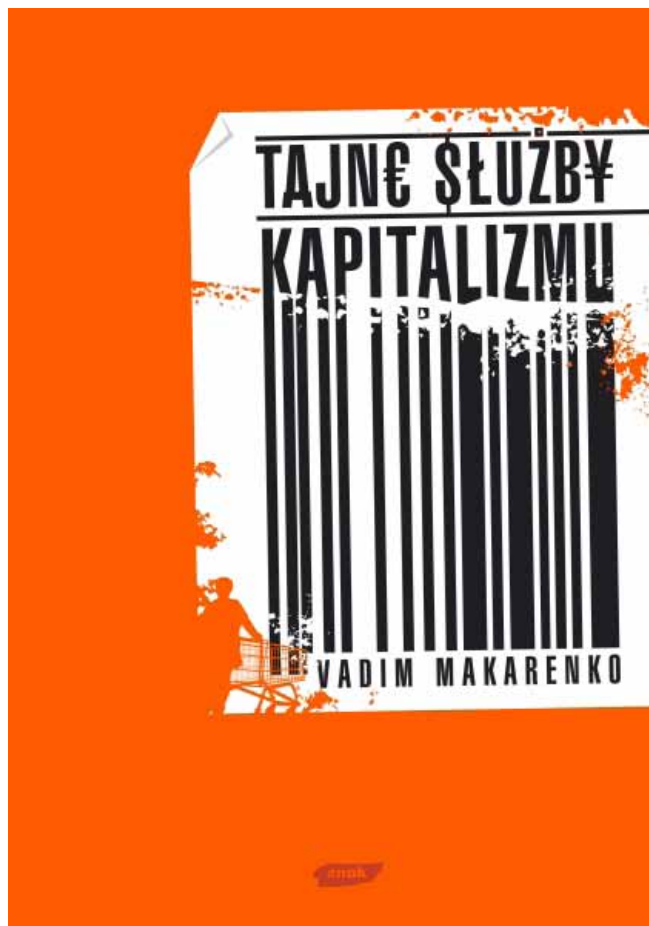
Nina Olszewska

Wola pozornie wolna

Zrobiłam dziś zakupy. Zwykle, codzienne, spożywcze. Prozaicznie zmęczona po pracy, machinalnie włożyłam do koszyka kilka produktów „tych, co zwykle”, „tych, które lubię”, „tych, które akurat były w promocji”. Można się zastanawiać w odniesieniu do poszczególnych dóbr, czy kierowałam się przy wyborze bardziej subiektywnymi upodobaniami czy ceną. Można, jednak po lekturze „Tajnych służb kapitalizmu” pojawiają się w głowie raczej pytania: ile razy moje śmieci musiały być przegrzebane, żebym wybrała to masło? Kto i kiedy zrobił pranie mózgu mojej mamie, żebym kupiła te ciastka, naiwnie wierząc, że powoduje mną tęsknota za domem rodzinnym? Skąd oni wiedzieli, na którą półkę spojrzę, jak mnie zmusili do zakupu tego szamponu?

Długo wierzyłam, że nie jestem typową ofiarą reklamy. Kontakt z mediami mam bardzo wybiórczy i przemyślany, telewizji nie oglądam, nie orientuję się w aktualnie najpopularniejszych spotach reklamowych. Książka Vadima Makarenki uświadomiła mi, że ONI mają sposoby na takie jak ja. Nie ucieknę.

ONI – specjaliści od reklamy, wwiercający się w mózg, kierujący pozornie kontrolowanymi przeze mnie działaniami, znający każdy mój krok, sposób myślenia, schematy działania. Obserwują mnie



PORTRET ONLINE NUMER 51 STRONA 10

może bezpośrednio, może za pośrednictwem jakiejś grupy porównawczej. Atakują na ulicy i w domu, przez znajomych i obcych ludzi w autobusie. Specjaliści od reklamy, tajne służby kapitalizmu. Domy mediowe, copywriterzy, przypadkowi ulotkarze i naukowcy w służbie komercji. Docierają do mnie jawnie i bezpośrednio albo atakują podstępnie i podprogowo moją ufną podświadomość. Teraz to wiem.

Vadim Makarenko, dziennikarz „Gazety Wyborczej” wyspecjalizowany w reklamie i marketingu, przez dwa lata zbierał materiały do książki. Rozmawiał ze specjalistami, poddawał się badaniom, zadawał pytania i szukał odpowiedzi. W jaki sposób koncerty wpływają na klientów? Jak powstają reklamy? Jak łatwo zmanipulować przeciętnego Kowalskiego?

W Polsce brakuje opracowań dotyczących rynku reklamowego czy szerokokorozumianego marketingu, dostępne są liczne źródła zagraniczne, bazują one jednak na obcych przykładach, dla Polaków dosyć anonimowych. Książka Makarenki oswaja reklamę, przenosi na swojski, rodzimy grunt. Omawiane kampanie, spoty, produkty, zna każdy odbiorca. Co sprawia, że Polacy sięgają po ten, a nie inny proszek, dlaczego ten napój jest reklamowany właśnie w ten sposób, do kogo skierowany jest slogan...? Mechanizmy działań reklamowych, badania rynku, pozornie niewinne ankiety, psychologia, socjologia, czarna magia wręcz, sztab ludzi i dorobek naukowy cywilizacji w służbie komercji, wszystkie siły świata wykorzystane tylko po to, by Polaków nakłonić do konsumpcji w pełni kontrolowanej.

Makarenko nie teoretyzuje, nie prowadzi wykładu. Przedstawia przykłady i opinie specjalistów. Udziela głosu najlepszym. Może to naleciałość dziennikarska? Autor chowa się za akcją, jakby sam daje się prowadzić, daje się porwać nurtowi zdarzeń, sam jest zaskoczony kolejnymi swoimi odkryciami i tego nie ukrywa. Nie jest przewodnikiem w tej podróży, jest towarzyszem czytelnika, jakby nie wiedział, co wyniknie z następnej strony. Świetnie, sprawnie napisany materiał, bardziej reporterski niż powieściowy czy podręcznikowy. Tekst jest doskonale spójny, przejrzysty.

Dlaczego „tajne służby”? Autor tworzy swoistą klamrę, kompozycja jest „spięta” historią Józefa Pinióra, niegdyś działacza opozycyjnego, opowiadającego o swoich doświadczeniach ze służbami bezpieczeństwa PRL. Analogia nasuwa się sama. Pełna inwigilacja życia, zwyczajów i potrzeb, która dokonuje się teraz dla celów marketingowych, jest w pewnym sensie

kalką podobnych działań z czasów realnego socjalizmu.

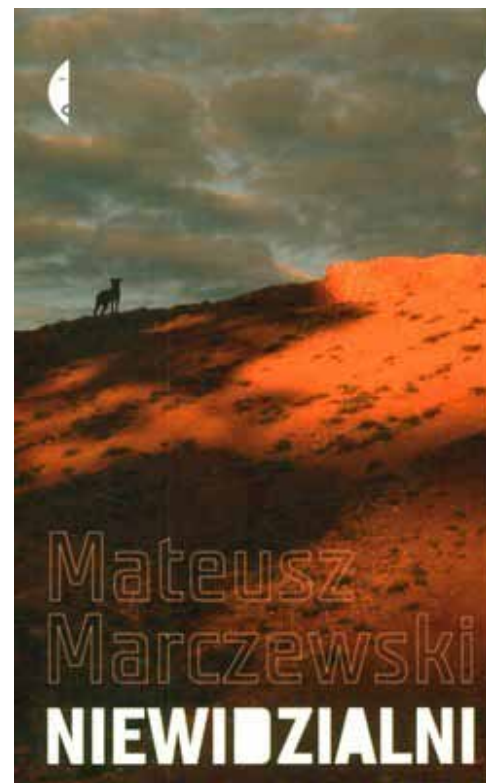
Dobra, dziennikarska robota, która odbiera złudzenia, że człowiek na cokolwiek w życiu ma wpływ. Jeśli pasta do zębów w mojej łazience nie świadczy o mojej wolnej woli i świadomym wyborze, to już chyba w nic nie można wierzyć.

Vadim Makarenko,
Tajne służby kapitalizmu,
Wyd. Znak,
Kraków 2008.

Justyna Pawlak

Widoczni, ale niewidzialni

Czym jest getto? Dla większości zapewne wydzielonym przez faszystów obszarem zamieszkiwanym przez prześladowaną ludność żydowską, ewentualnie ubogą, zaniedbaną dzielnicą wielkiego amerykańskiego miasta, w której osiedlają się przedstawiciele mniejszości etnicznych, często popadający w konflikt z prawem. Po przeczytaniu książki Mateusza Marczewskiego „Niewidzialni” zdałam sobie sprawę, że nawet w XXI wieku może dochodzić do sytuacji, w których celowo tworzy się getta, aby umieszczać w nich ludzi niewygodnych, innych, których odmienność wynika tylko z koloru skóry czy sposobu życia. Autor porusza w swej książce problem, którego lepiej nie dostrzegać i o którym bezpieczniej głośno nie mówić. Bo temat faktycznie jest niewygodny – ot, grupka Aborygenów, „dzikusów” nie potrafiących przystosować się do nowych warunków, nierozumiejących cywilizacji białego, a więc lepszego człowieka. Żyją w swoim własnym, śmiesznym świecie, wierzą w jakiegoś tęczowego węża, śmierdzą, piją, są zdegenerowani i niechlujni. Tak właśnie opisuje ich autor, ale jego utwór nie ma obrażać, poniżać czy piętnować rdzennych mieszkańców Australii. Owszem – język, którego używa Marczewski to język bardzo cyniczny, pełen pogardy, ale to język, którym do Aborygenów przemawia nasza cywilizacja, a często również my sami. Można śmiało powiedzieć, że ta ironia, która wyziera z każdego sformułowanego zdania, to największy atut książki. To właśnie dzięki ironii możemy zauważyć tytułowe



niedostrzeżenie, lekceważenie, brak zrozumienia dla odmiennych zwyczajów, tradycji, problemów czy potrzeb. Cięty język sprawia, że „Niewidzialni” niezwykle trafnie opisują niebezpieczny proces, jakim jest sprowadzenie Aborygenów do roli atrakcji turystycznej, za której zobaczenie bogaci Europejczycy czy Amerykanie są w stanie zapłacić krocie. Może właśnie dlatego w książce nie zamieszczono zdjęć opisanych miejsc, ludzi, przedmiotów czy zachowań. Myślę, że Marczewski nie chciał tworzyć ze swojego utworu kolejnego przewodnika po kontynencie australijskim, kolejnego pięknego albumu, który można kupić komuś na urodziny i oglądać w zimowe wieczory marząc o dalekich podróżach. Zależało mu na przedstawieniu problemu, analizie jego przyczyn i skutków, pokazaniu nie tego co fajne, przyjemne, ale tego, co przemilczane, odtrącone, niewygodne – bo inne.

O tym, że autor traktuje Aborygenów bardzo poważnie, świadczy również fakt, że ukazuje zmieniające się relacje między białymi a autochtonami – zarówno te współczesne, jak i znane z przeszłości. Sprzyja temu podzielenie książki na rozdziały, w których znajdziemy opinie na temat rdzennych Australijczyków przedstawione przez ludzi, którzy się z nimi zetknęli. Odwołanie do historii, będące kolejnym atutem książki, nie tylko ukazuje różne aspekty zjawiska, ale też świadczy o odczuciu autora, o przeprowadzeniu przez niego wnikliwych badań i obserwacji oraz o rzetelnym podejściu do tematu. A temat jest bardzo poważny.

„Niewidzialni” to nie tylko tekst o Aborygenach, ale także o moralnym aspekcie niebezpiecznego zjawiska, jakim jest kolonizacja. Marczewski bez ogródek pyta, czy mamy prawo uważać naszą cywilizację za lepszą od innych, czy możemy wkraczać w czyjeś życie i burzyć istniejący dotąd porządek. Jednocześnie udziela odpowiedzi, odpowiedzialnością za niszczenie kultury Aborygenów obarczając przede wszystkim rząd Australii. Zdaniem autora politycy uważają, że pieniądze zaspokoją wszelkie potrzeby tego prymitywnego społeczeństwa, któremu do szczęścia potrzeba kartonu piwa czy paczki papierosów. Nikt nie bierze pod uwagę potrzeb duchowych, o czym świadczy choćby niszczenie obiektów kultu religijnego. Krytykowany jest również brak reakcji władz na demoralizację Aborygenów - pogłębiający się alkoholizm, narkomanię, prostytutkę czy wzrost przestępczości wśród nieletnich. Co ważne, Marczewski nie jest stronnicy. Gorzkich słów nie szczędzi samym autochtonom,

których oskarża o przedkładanie chęci zysku nad wyznawane zasady, nad dobro swoich współtowarzyszy. Takimi ludźmi są między innymi opisani przez autora artyści, którzy łączą własną kulturę z kulturą białej cywilizacji tylko po to, by sprzedać swoje dzieła nieświadomym zawartego w nich przekazu turystom i tak zwanym kolekcjonerom dzieł sztuki. To również ci, którzy oprowadzają walących drzwiami i oknami turystów, dla których możliwość zobaczenia Aborygenów i ich siedzib jest niezwykle atrakcją i przygodą życia. Autor ubolewa nad faktem, że rdzenni Australijczycy popadają w apatię. Dla nich inwazja białego człowieka jest tylko kolejnym etapem życia, kolejną fazą rozwoju, po której przyjdzie nowa, lepsza. Nie zdają sobie sprawy, że próba ich ucywilizowania to proces, którego nie da się cofnąć, a który – wręcz przeciwnie – będzie postępować. Można powiedzieć brutalnie, że Marczewski nie odkrywa Ameryki, że problem uciskania rdzennej ludności – nie tylko australijskiej – poruszało wielu pisarzy. Mimo to jego książka przykuwa uwagę czytelnika, zmusza go do myślenia, do refleksji nad pozycją białego człowieka w świecie, nad tym dlaczego jest ona tak wysoka i jakie były skutki jej uzyskania. Pisarz stawia też pytanie podstawowe, a jednak często pomijane milczeniem: czy mamy moralne prawo do uważania się za cywilizację rozwiniętą, przodującą, lepszą od innych. Marczewski pokazuje, że Biali, którzy określają się mianem najbardziej rozumnych, powodowani chęcią zysku są w stanie posunąć się do niezwykle prymitywnych i okrutnych zachowań takich jak znieważanie religii, odbieranie dzieci pochodzących ze związków autochtonów z Australijczykami czy grabienie terenów od wieków należących do rdzennych mieszkańców kontynentu pod pretekstem budowy osiedli mieszkalnych czy kopalni. Jednocześnie w rozdziale „Kukiełki” autor udowadnia, że kolonizacja to nie tylko problem Aborygenów, ale wszystkich podbijanych cywilizacji. Osadnictwo jest dla niego równoznaczne ze zniewoleniem danej społeczności, narzuceniem jej własnych praw, obyczajów, swojej kultury, która zdaniem kolonizatorów jest wyższa, bardziej rozwinięta. Książka Mateusza Marczewskiego to nie tylko ciekawa opowieść o Aborygenach, ale także przejmujący reportaż opisujący ludzi prześladowanych ze względu na swój język, kolor skóry, poglądy, zwyczaje czy religię. To przede wszystkim pochylenie się nad problemami ludów pierwotnie zamieszkujących Australię, nad brakiem tolerancji w stosunku do przedstawicieli innych ras. „Niewidzialni” to pozycja niezwykle prawdziwa, odarta z patosu, z wszechobecnego uzalania się nad podbitą cywilizacją. To obraz, który ma

PORTRET ONLINE NUMER 51 STRONA 15

szokować i faktycznie szokuje. Gdyby bowiem Marczewski opisywał to, co zobaczył tak, jak jest to przedstawiane w mediach czy oficjalnych komunikatach rządu Australii, to powstałby przewodnik turystyczny czy atrakcyjna oferta biura podróży, a nie niezwykle mądra, przesycona bólem, krwią i cierpieniem książka.

Mateusz Marczewski,
Niewidzialni,
Wyd. Czarne,
Wołowiec 2008.

Urszula Pawlicka

Literackie deja vu

„Literatura kobieca to rodzaj nastrojowości, aury, sposobu narracji i specyfiki dziejów – bliżej domu, bliżej serca, uczuć” – tak literaturę kobiecą określiła Małgorzata Kalicińska w pierwszym numerze „Bluszczu”. Określiła raczej specyfikę własnej twórczości, którą zaliczyć można do kręgu „babskich czytań”. Autorka serwuje nam zatem rodzaj nastrojowości - mazurską sielankę; sposób narracji – dwie bohaterki współtworzą dziennik terapeutyczny, spisywany „na żywo” (stąd niekiedy przerywane fragmenty z powodu nagłego wybuchy płaczu); specyfikę dziejów – obraz trzech pokoleń, których, ku zdziwieniu, nie dzieli kontekst historyczny i kulturowy, a łączy odwieczny problem poszukiwania miłości. Bliżej domu, serca, uczuć – znamienne cechy, w pełni charakteryzujące trylogię Kalicińskiej. Tzw. babskie sprawy, czyli miłość, zdrada, dom, dzieci itd. Standardowe tematy, które bezpiecznie można poruszyć w literaturze kobiecej, w tym przypadku zaliczonej do literatury popularnej. Autorka sprawia wrażenie, że próbuje być pisarką feministyczną. Pisze o kobietach, o ich troskach, trudach, radościach i pragnieniach. Stara się udowodnić, że trzy przefiltrowane przez nią pokolenia zna od podszewki. Zarówno babka, matka, jak i córka urodzą młodo dziecko, wychowa je ojciec, one zaś rzucą się w wir romansów, a gdy staną się dojrzałymi kobietami znajdą matkę i będą żyć razem długo i szczęśliwie. Po drodze przewinie się problem pracy (obowiązkowy temat jeśli książka ma mieć znamiona feministyczne) oraz namiętności, które tak błyskawicznie gasną, jak szybko wybuchają. Jeśli trylogia Kalicińskiej próbuje wbić się w nurt feminizmu, to jest to raczej feminizm skomercjalizowany. Dużo w niej



zniekształceń, wyolbrzymień i uproszczeń.

Jakie są zatem kobiety według Małgorzaty Kalicińskiej? Afirmowana przez nią płęć zostaje wyzwolona z kulturowego formatu. Cechuje je odwaga i silne zdeterminowanie, aby samemu stanąć na nogi i pokazać światu, że kobiety również mogą być przedsiębiorcze i niezależne. W „Miłości nad rozlewiskiem” mamy szeroką paletę kobiet, wszystkie dojrzałe i świadome swych decyzji. Borykają się z problemami finansowymi i rodzinnymi. Przykładem jest Elwira, która jeszcze w szkole średniej zaszła w ciążę, maturę zrobiła zaocznie, a teraz robi kurs kosmetyczno-fryzjerski. Beata, pozostawiona przez męża, boryka się z problemami finansowymi; Ania Wrona, dzieląca życie z alkoholikiem. Oprócz tych drugoplanowych postaci, mamy oczywiście główne bohaterki: Gosia, znana czytelnikom z „Domu nad rozlewiskiem”, rozkręca biznes na Mazurach i jest szczęśliwie zakochana w Januszu, którego uratowała z alkoholizmu. Paulina, która niespodziewanie „wpadła”, nie kończy pierwszego roku studiów, lecz poświęca się macierzyństwu. Autorka nie eksponuje, tak naturalnie rozumiałych między nimi różnic, jakimi są wiek, stopień wykształcenia czy sposób wychowania. Ta „solidarność macic”, jak powiedział jeden z bohaterów, tworzy obraz wspólnoty kobiet niezależnych, współczesnych „emancypantek”. Każda część trylogii sprytnie przeznaczona jest dla innej czytelniczki. Ten chwyt marketingowy przyczynił się zapewne do sukcesu trylogii Kalicińskiej. Zarówno 60-letnia babcia, 40-letnia córka, jak i 20-letnia wnuczka są takimi samymi czytelniczkami. Niewiarygodne, że można z takiej amplitudy wiekowej stworzyć jednorodną całość. Autorka udowadnia, że to nie jest wcale takie trudne – po prostu należy wszystkie potraktować w ten sam sposób. I tak ok. 60-letnia Basia żyje na kocią łapę z młodszym od siebie Tomaszem, ok. 40-letnia Gosia dzieli dom z młodszym od siebie Januszem, również bez ślubu. 20-letnia Marysia, mieszka z ojcem i jego partnerką, i ma już za sobą kilka „pierwszych razów”. Jej przyjaciółka Paulina zachodzi w ciążę podczas namiętnej nocy z gorącym Francuzem, a pierwsze czym się zajmuje po przybyciu nad rozlewisko to poderwanie mężczyzny, którego również nie odstawia z kwitkiem. Należy dodać, że Paulina przyjaźni się z matką Marysi, czyli Gosią, podoba się jej Janusz, a była i pozostała ze Sławkiem, rozwodnikiem, nigdy chwilowym partnerem Gosi... Nic dodać, nic ująć.

Autorka na siłę próbuje rozróżnić kobiety poprzez sposób narracji i specyfikę języka. W „Miłości” dochodzi do głosu młoda kobieta, wychowana już w erze e-maili i smsów, stąd pierwsze zapiski jej wspomnień celowo są napisane chaotycznie. Co

PORTRET ONLINE NUMER 51 STRONA 18

ciekawe, bohaterka wręcz uprzedza czytelnika, że pisać nie potrafi(!) i udowadnia to brakiem klarownej składni i potocznością języka. Pojawiają się w jej narracji słowa wyraźnie charakterystyczne dla młodego pokolenia: „facio”, „forsa”, „dyro”. Autorka jednak nie jest konsekwentna w swoim stylistycznym zabiegu. Im dalej, tym różnice stają się coraz mniej wyraźne. Kobiety u Kalicińskiej są jak kameleony: kobiety femme fatale, Matki Polki, kobiety przedsiębiorcze i niezależne, dzikie kochanki, rozważne i romantyczne. Zatem każda czytelniczka może wybrać swój własny zestaw cech.

Autorkę zdumiewa kulturowa stereotypizacja płci, którą zatem próbuje przełamać. Potwierdza jednocześnie twierdzenie, że miejsce kobiety w świecie określa seksualność i rodzina. Nie przekonuje mnie jednak wizja kobiety, która z każdym nowym mężczyzną „idzie do łóżka”, bardzo młodo rodzi dziecko i oddaje jego ojcu, sama zaś rozpoczyna karierę. Dziecko, a właściwie już dorosła kobieta, ostatecznie powraca do matki, i jak gdyby nigdy nic, stają się najlepszymi przyjaciółkami. Nic się przecież takiego nie stało(?!). Obraz ten przeraża swą idyllicznością. Odczuwa się wrażenie, że autorka próbuje przekonać czytelniczki, że dwóch ról nie da się pogodzić. Jeśli wybierze się rolę matki, wykonywana praca nie będzie spełnieniem oczekiwań, i odwrotnie, kariera nie jest dla Matek Polek. Jest to problem poważny i dyskusyjny, którego nie należy ubierać w ładne opakowanie i udawać, że rozwiązanie jest albo białe, albo czarne.

Nie przekonuje również wizja rodziny, która u Kalicińskiej traci znamiona wspólnoty, rozumianej w sposób konserwatywny. W trylogii obserwujemy kształtowanie się rodziny nowoczesnej, a więc po prostu zbiór osób, które darzą się miłością. Rodzina nie jest już definiowana z punktu widzenia miejsca, w którym wspólnie żyje mama, tata i dziecko. Rozumiana jest wyłącznie jako więzy, słabiej lub mocniej zacieśnione. Dziecko wychowywane jest przez jednego rodzica, w którym drugie odpowiedzialne jest za nie na innym poziomie. Pary, które rezygnują z zawarcia małżeństwa, żyją wspólnie na „kocią łapę”. W „Miłości nad rozlewiskiem” obserwujemy rodzinę budowaną przez kobiety reprezentujące trzy pokolenia. Są dowodem na to, że więzy między kobietami są trwalsze niż związek z mężczyzną. „Mąż to rzecz nabyta, znajdzie się”, jak powiada główna bohaterka. Trzy kobiety, które różnią się doświadczeniami, tworzą syntetyczną jedność.

Przez wiele miesięcy „Dom nad rozlewiskiem” i „Powroty nad rozlewisko” znajdowały się w pierwszej dziesiątce bestsellerów (obok Katarzyny Grocholi i Janusza L. Wiśniewskiego). Powieści Kalicińskiej uruchomiły potężną maszynę komercyjną.

PORTRET ONLINE NUMER 51 STRONA 19

Pomyśleć, że Kalicińska po prostu pewnego dnia usiadła przy komputerze (niedawno dopiero nauczyła się obsługi komputera), wylała z siebie „obolałą duszę” i jak sama powiedziała „No to ją sobie napisałam!”. Maszyna ruszyła. Planuje się ekranizację filmu na podstawie „Domu nad rozlewiskiem”. Autorka pisze do czasopisma „Bluszcz”, codziennie na swoim blogu opisuje szczegóły ze swojego życia (dodatkowa lektura dla fanek). W pewnym momencie powstaje pomysł napisania „trylogii mazurskiej”. Autorka zatem pisze trzecią część, która jest zręczną kopią poprzednich opowieści. Od początku do końca towarzyszy uczucie *deja vu*. Podobnie autorka wprowadza do lektury informacje praktyczne, tym razem oprócz przepisu na baraninę zimową w wersji wytrawnej i śmietanowej, znajdziemy porady jak zrobić kapturek niemowlęcy oraz jak poradzić sobie z zastoinami mleka. To niemal poradnik niezbędny dla młodej mamy!

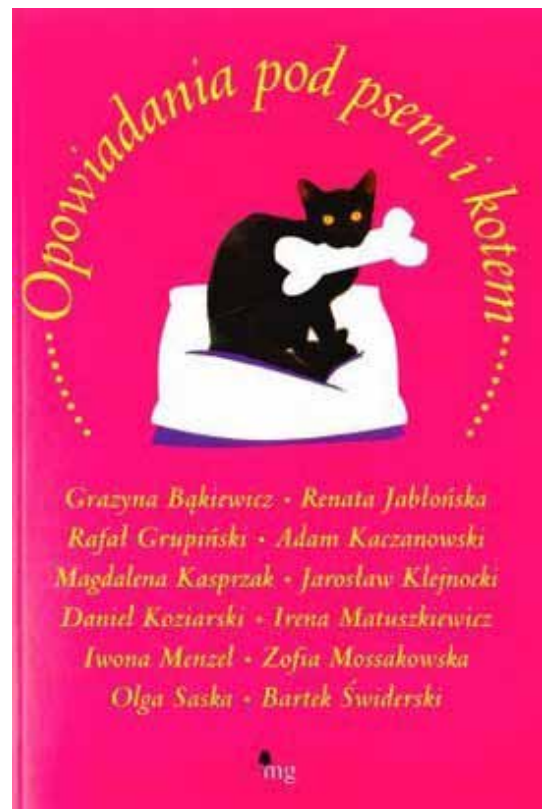
W trzeciej części ponownie zaletą jest swobodny, zabawny i żywy język. Jest to również lektura grzeczna, łagodna i niewymagająca myślenia (na tyle, że w przypisach tłumaczy się m.in. wyraz „eklektyzm”). „Miłość nad rozlewiskiem” po prostu skazana jest na sukces.

Małgorzata Kalicińska,
Miłość nad rozlewiskiem,
Wyd. Zysk i S-ka,
Poznań 2008.

Anna Rau

Psy i koty obraziły się

Chwała kotom i psom – chwała psom i kotom, gdyż oba te gatunki, mniejsza o kolejność, są największym i najbardziej pokrzywdzonym (oprócz tzw. zwierząt hodowlanych) przyjacielem ludzkości. Stale obecne, bezinteresownie przywiązane, sprawiedliwe, prawdomówne. Rodzaj ludzki odwdzięcza się im m.in. opisując ich dole i niedole na kartach licznych powieści, opowiadań i szkiców literackich, i o takiej też tematyce tomik trzymamy w ręku, gdy sięgniemy po „Opowiadania pod psem i kotem” autorstwa dwunastu polskich pisarzy. Wielką prawdą jest zasada, iż każde kazanie, opowiadanie, powieść, film warto wysłuchać, obejrzeć bądź przeczytać choćby tylko dla jednego wartościowego zdania – wspomniane wyżej „Opowiadania...” warto przejrzeć dla wyjątku z szóstego z opowiadań autorstwa Jarosława Klejnockiego, który brzmi: „[...] Psy i koty zawsze myślą do przodu i zupełnie nie rozumieją, dlaczego ludzie tak bardzo lubią oddawać się wspomnieniom”. Proste i genialne. Ale niestety takowymi nie są pozostałe opowiadania o psach i kotach... I bynajmniej nie chodzi tu o ogromne zróżnicowanie pod względem treści, jak stylu pisarstwa, ale właśnie o pewne podobieństwo. Nie rozumiem, dlaczego niemal wszystkim autorom opowiadań zadany (jak przypuszczam – z góry za insynuację przepraszam) motyw kota/psa skojarzył się z koniecznością wykorzystania motywu śmierci, grobu, żałoby, cmentarza? Czy to jakaś literacka reklama zwierzęcej terapii? Czy to głos w dyskusji, że zwierzak w czasie pożałobnym stanowi najlepsze rozwiązanie kwestii samotności, straty i nadmiaru czasu w



pojedynek? Źle się zaczyna...

Grażyna Bąkiewicz: Dobry pies. Dobrze opisany mały realizm, małego życia starej Joszki, co na co dzień pilnuje dzieci sąsiadów, a za pomocnika i wybawiciela ze strasznych opresji ma przygarniętego psa. Raczej wprawka literacka. Punkt dla psów.

Renata Jabłońska: Milan. Terapeutyczne działanie kototerapii podczas żałoby. Jaka długość, taka wartość. (Dość krótkie). Punkt dla kotów.

Rafał Grupiński: Dotyk zimnego nosa. Główną cechą opowiadania jest dziwny i bardzo kłopotliwy dla czytelnika sposób narracji: pogmatwane dialogi licznych bohaterów wraz z wewnętrznym monologiem głównego – narratora. Miał być nostalgiczny powrót do dzieciństwa (wszystko oczywiście zaczyna się na cmentarzu), pełna chata, rodzinny stół, ciepłko domowej krzątaniny, a wyszedł totalny chaos werbalny. I chyba gdzieś w tym wszystkim jakiś Azor krąży, ale może to chodzi o wujka Leona? Punkt dla psów.

Adam Kaczanowski: Miau, miau, miał kilka żyć. Pierwsze w tym zestawie interesujące opowiadanie, czyli opis żalostnego widowiska pociągu dojrzałości do młodości. Prócz tego kilka męsko-damskich charakterków, jakieś emocje, chucie, motyw martwego kota (po prostu cudownie!), bezpretensjonalne pretensje i mały dramat małżeński (plus zabieg częściowej animizacji). Punkt dla kotów.

Magdalena Kasprzak: Dopóki żył, po bułki biegała Anielka. Zaczyna się, oczywiście, od wdowieństwa tytułowej Anieli, a kończy... śmiercią. Punkt na korzyść psów.

Jarosław Klejnocki: Wyprawa. Milutka narracja dwojga głównych bohaterów – kota i psa. Wielka wyprawa do lasu wielkich-małych bohaterów. (Zastosowana w tym opowiadaniu personifikacja zwierząt jest cudownie odświeżająca na tle pozostałych obrzydliwie człowieczych historii). Po punkcie dla obu obozów plus punkt dla p. Klejnockiego za wrodzoną dyplomację.

Daniel Koziarski: Dziewięć żyć kota Alberta. Opowiadanie o tym, na co wskazuje tytuł, czyli dziewięć razy

mała patologia. Punkt dla kotów. Na pewno nie dla autora (raczej wyrazy współczucia).

Irena Matuszkiewicz: Przytulanki. Bardzo życiowa historia, którą każdy obywatel cywilizowanej części kuli ziemskiej przerobił we własnym życiorysie: o tym, że człowiek dorastając i z każdym rokiem coraz bardziej czując się samotnym, zaprzęga całą dostępną rodzinę do opieki nad swoimi zwierzętami. Ciepła opowieść, krzepiąca i interesująca literacko. Zero sentymentalizmu – mnóstwo dobrego pióra. Punkt dla kotów, psów i gatunku *rattus rattus*. Punkt dla autorki za godne Oskara postacie literackie – pierwszoplanową kobietą, matki, oraz pierwszoplanową zwierzęcą, szczura!

Iwona Menzel: Piąty kot. Niezły *animal-horror*, czyli dobrze napisana historyjka z mnóstwem kobiecych bohaterek i kilkoma zabawnymi wątkami (zachwycający akapit o dostosowaniu oferty nagrobków do upodobań estetycznych współczesnych klientów – ten grobowiec ze świecącą aureolą!). Punkt dla kotów. Minus dla autorki za krzewienie średniowiecznych przesądów.

Zofia Mossakowska: Koty i reksy. Strumień-wyznanie kobiety po przejściach. Dłuuugie. Punkt tylko dla kotów.

Olga Saska: Filozofia ucieczki. Bardzo skomplikowana filozofia – narrator to kot, odwieczny, przedwieczny, egipski. Opowiadanie dla starożytnych Egipcjan. A koty tak nie mówią! Punkt dla kotów.

Bartek Świderski: Ostatnie safari. Co tam safari! – ostatnie opowiadanie! (Chodzi o „safari” wewnątrz pewnego małżeństwa). Punkt dla lampartów.

Dzięki Bogu koniec: punkt dla czytelnika.

Opowiadania pod psem i kotem,

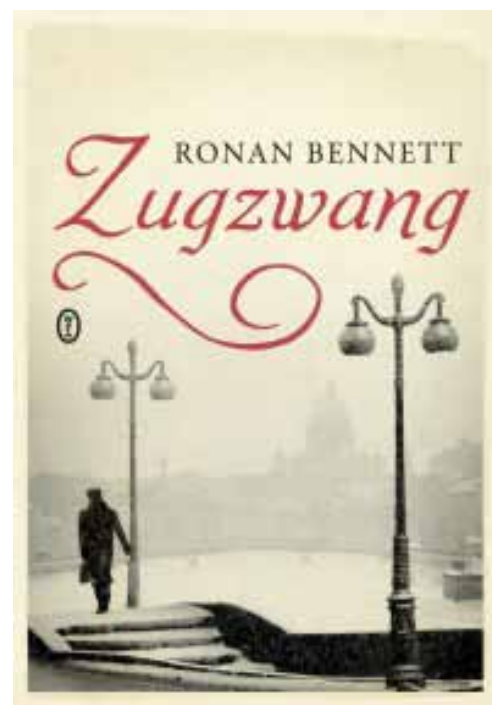
Wyd. MG,

Warszawa 2008.

Malwina Sławińska

Balansując na szachownicy

Międzynarodowy turniej szachowy, płomienny romans, problemy między ojcem a córką, psychologia i w końcu, co najważniejsze, polityczna intryga, a to wszystko na tle Petersburga w przededniu rewolucji październikowej. Czy brzmi wystarczająco zachęcająco, żeby przeczytać „Zugzwang” Ronana Bennetta? Jeśli to za mało, to lepsza będzie z pewnością rekomendacja „The Times’a”: „Wysokiej klasy literacki thriller, osnuty wokół gry w szachy i psychoanalizy, opowiada o ciemnych stronach rosyjskiej obyczajowości i historii. Nie zabrakło w nim także tajemnicy i romansu”. Notka wydawcy umieszczona na okładce książki jak zwykle wychwala książkę pod niebiosa, ale trzeba przyznać, że wszelkie zapewnienia okazały się być prawdziwe. Fabuła jest rzeczywiście skomplikowana (można się pogubić w gąszczu nazwisk). Można mieć wątpliwości co do „zaskakujących podtekstów”, ja napisałabym po prostu o zaskakujących zwrotach akcji. Atmosfera zepsutego okrucieństwem, mrocznego Petersburga bardzo sugestywna. Krótko mówiąc: thriller polityczny na poziomie. A mówiąc dłużej: Głównym bohaterem „Zugzwangu” jest lekarz psychiatra Otto Spethmann, leczący grono bardzo różnorodnych pacjentów. Wśród nich są m.in. przywódca partii bolszewickiej, wybitny szachista, faworyt zaczynającego się właśnie w Petersburgu turnieju, a także córka jednego z najbardziej wpływowych rosyjskich potentatów, która zostanie wybranką serca naszego bohatera. Losy tych ludzi krzyżują się właśnie w gabinecie doktora, do tej pory apolitycznego obserwatora, który tym samym zostaje wplątany w spisek zagrażający życiu samego cara. W dodatku w intrydze tej udział bierze również jego, jak mu się wydawało, najlepszy przyjaciel, Kopelson. Spethmanna coraz częściej zaczyna nachodzić policja, bierze udział w efektownie opisanych pościgach ulicami Petersburga, a pod osłoną nocy spotyka się z różnymi podejrzanymi typami. W dodatku on sam



wyduje się nie sprzyjać nikomu i chce po prostu chronić życie swoje i innych niewinnych ludzi. Każdy rozdział, każda strona, a nawet każdy akapit przynoszą nowe pytania i odpowiedzi, trzymając czytelnika w napięciu do ostatniej linijki. W dodatku narracja pierwszoosobowa sprawia, że mamy wrażenie bliskości z głównym bohaterem, a jego przygody dotyczą nas niemal bezpośrednio. Niestety fabuła jest dosyć zagmatwana i trzeba poświęcić lekturze sporo uwagi, dlatego radzę przeczytać ją jednego wieczora, a dzięki dużej dawce suspensu jest to jak najbardziej możliwe.

My, Polacy (jakkolwiek patetycznie to brzmi), mamy jeszcze jeden pretekst do przeczytania „Zugzwangu”. Pojawia się tu bowiem wielu Polaków-anarchistów, Polaków żydowskiego pochodzenia walczących o swoją niepodległość. Abram Rosenthal, ów wybitny szachista, jeden z ważniejszych bohaterów, wzorowany jest natomiast na postaci prawdziwego polskiego arcymistrza szachowego, żydowskiego pochodzenia.

Wspomniana już rozgrywka szachowa jest zresztą równoległym wątkiem, który stanowi odzwierciedlenie gry o życie, w której bierze udział główny bohater. Rozgrywa on partie szachową ze swoim przyjacielem, skrzypkiem Kopelsonem. Jak przyznaje autor, wzorowana jest na rozgrywce między Kingiem a Sokołowem z 2000 roku. Podczas rozgrywki następuje moment tytułowego „zugzwangu”, czyli konieczności wykonania ruchu w sytuacji bez wyjścia, w której wykonujący go z góry skazany jest na poniesienie straty. W analogicznej sytuacji znajduje się Spethmann: nie może pozostać biernym obserwatorem, bo gra toczy się o najwyższą stawkę, ale nie znajduje też wyjścia, które mogłoby mu zapewnić wygraną. Pomysł przedstawienia faktycznej gry, w dodatku w formie graficznej (co kilka stron znajdujemy rysunek planszy z podpisanymi ostatnio wykonanymi ruchami), jest dość oryginalny i z pewnością zasługuje na pochwałę, aczkolwiek przyniesie przyjemność tylko amatorom szachów, dla których ta powieść powinna być pozycją obowiązkową. Niemniej ten zabieg podnosi rangę książki z pozycji kolejnego thrillera jakich wiele, do jednej z bardziej wyjątkowych w tej kategorii. Świadczyć może o tym publikowanie „Zugzwangu” w odcinkach na łamach prestiżowego brytyjskiego tygodnika „The Observer”.

Bennetowi udało się też doskonale zrekonstruować obraz Petersburga, takiego jaki był on w 1914 roku. Umieszczanie opowieści na tle historycznych wydarzeń jest charakterystyczne dla tego autora. Tłem jego książek było już m.in. odzyskiwanie niepodległości Konga oraz nadejście wojny domowej w Anglii w 1642 roku. Choć tutaj nie mamy do czynienia z wiernym odzwierciedleniem zdarzeń historycznych, to Bennet robi wszystko, aby w nas takie złudzenie wywołać. Opisuje wnikliwie środowisko carskiej ochrony, partii bolszewickiej oraz petersburskich elit. Nie pomija też aktualnej wówczas kwestii antysemityzmu i pogromu Żydów, którą możemy odnieść do dzisiejszych uprzedzeń w stosunku do muzułmanów. A wszystko

to na tle wzorowo odmalowanych uliczek, nadbrzeży czy wnętrz. Do napisania tej jednej powieści przyczynił się ogrom kilkudziesięciu przeczytanych przez autora lektur, których spis znajdziemy na końcu książki. Należy się więc pochylić nad pracą, jaką musiał on wykonać, aby dobrze oddać stosunki społeczne panujące w carskiej Rosji, jak i odtworzyć wygląd i atmosferę ówczesnego Petersburga.

Zainteresowanie powieścią zwiększa polityczna przeszłość samego autora. Urodzony w Belfaście, Bennet jako nastoletni członek IRA, spędził kilkanaście miesięcy w więzieniu za zabicie funkcjonariusza irlandzkich służb bezpieczeństwa. Zaangażowanie polityczne jest u niego uwidocznione poprzez usprawiedliwianie anarchistów i komunistów, jako walczących w czynie społecznym o zmiany na lepsze. W pewien sposób również opisane dążenia niepodległościowe Polski można odnieść do trwającej do dziś walki o suwerenność Irlandii. Śmiało można powiedzieć, że „Zugzwang” jest powieścią politycznie zaangażowaną. Oprócz przyjemności z rozwikłania zagadki kryminalnej, możemy też wynieść przyjemność z pogłębienia naszej wiedzy historycznej, która zostaje nam podana w bardzo przystępny sposób.

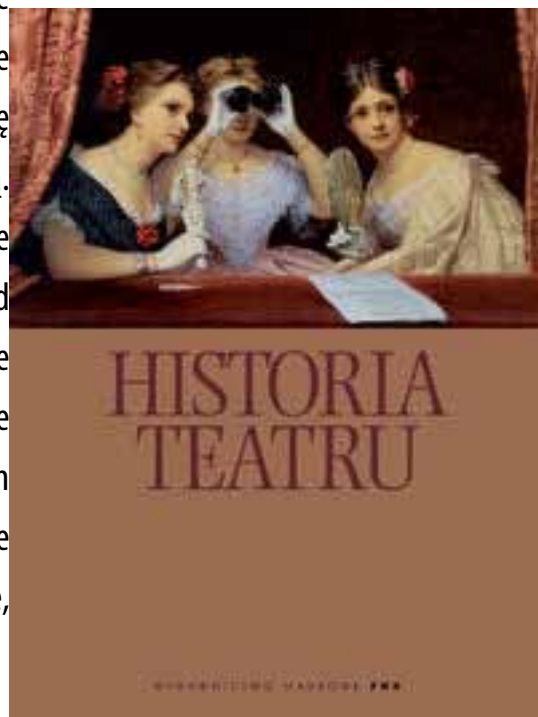
Historia pozostaje jednak tylko tłem, bohaterem drugoplanowym dla zagadki kryminalnej, która w „Zugzwangu” odgrywa główną rolę. Powieść „Zugzwang” zadowoli każdego. Nie zawiodą się ani fani szachów, ani rusofile, ani amatorzy akcji i sensacji.

Ronan Bennet,
Zugzwang,
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2009.

Magdalena Zielonka-Kowalska

Kilka słów o publiczności teatralnej

Pierwsza strona okładki najnowszej wydania „Historii teatru” pod redakcją J. R. Browna zachęca czytelnika do sięgnięcia po książkę piękną reprodukcją obrazu przedstawiającego trzy kobiety w teatralnej łoży. Chciałoby się powiedzieć, że te kobiety spoglądają z okładki na czytelnika, ale tak nie jest. Centralna postać zakrywa twarz lornetką, którą trzyma, ostrożnie odchyłając palce, by nie przysłonić nimi obrazu. Kobieta siedząca z jej prawej strony, zwrócona do oglądającego obraz profilem, pochyla głowę, jakby chciała uchwycić punkt widzenia towarzyszki. Trzecia zaś, choć możemy jej zajrzeć prosto w oczy, omija nasz wzrok i spogląda w tym samym kierunku co jej sąsiadki. Pod reprodukcją złotymi literami wypisano HISTORIA TEATRU. Zaglądając na ostatnią stronę okładki, znajdziemy dwie krótkie recenzje książki (może się okazać interesująca nie tylko dla historyków teatru), a w tle majaczącą postać aktora, najprawdopodobniej w roli Hamleta. Domyślamy się tego po teatralnym geście, w jakim pochyla się nad trzymaną w dłoni czaszką. Może mówi właśnie swój najszynniejszy monolog, w którym reżyserzy chętnie widzą aktora z tym właśnie rekwizytem, choć przecież Hamlet stanął nad grobem nadwornego błazna Yoricka w całkiem innych okolicznościach. Być może nasze damy zasiadające w łoży na pierwszej stronie okładki podziwiały właśnie Hamleta, którego możemy oglądać dziś i my. Dobór ilustracji na obwolutach PWN-owskiej publikacji pokazuje trafnie, że historia teatru jest w równej mierze historią artystów i widzów. A znaczenie tych ostatnich dla teatru bywa tak wielkie,



że podział na twórców i odbiorców przestaje być oczywisty.

Napisano przecież sztuki teatralne, w których dla widzów przewidziano ważne role. Tak jest na przykład w „Skoku z wysokości” amerykańskiej autorki Leslie Ayvazian, który ma w swoim repertuarze warszawski Teatr Polonia. Podczas każdego przedstawienia wcielająca się w główną postać Krystyna Janda pozostałymi rolami obdziela znajdującą się na sali publiczność. Bohaterką sztuki jest kobieta, która stoi przed wyzwaniem skoku z wysokości do basenu. W pokonaniu lęku wysokości i innych przeszkód będą ją dopingować właśnie widzowie. Lesli Ayvazian, grając w napisanej przez siebie sztuce, sama rozdawała widzom role, a w teatrze Polonia o tym, kto zagra Syna, Męża, Pana od Klimatyzacji czy innych bohaterów, decyduje przypadek: poszczególne role, sondując dopiero teatralne predyspozycje teatralnej polskiej publiczności, postanowiono przed premierą „przyporządkować” fotelom. Wybrani (właściwie wylosowani widzowie) odczytują przygotowany dla nich wcześniej tekst, włączając się w przedstawienie. Taki spektakl to teatralna zabawa, ale i wyzwanie, nie tylko zresztą dla często debiutujących w roli aktorów widzów (niektórzy z nich przychodzą jeszcze raz, by zagrać kogoś innego). „Muszę bardzo uważnie reagować. Bo jeśli na przykład przyjdzie ktoś, kto zapomni okularów i nie będzie w stanie przeczytać kwestii?” – mówiła w jednym z wywiadów Krystyna Janda. Zdarzało się, że rozemocjonowani widzowie wypowiadali kwestie, których nie było w scenariuszu. Lesli Ayvazian lubi teatralne eksperymenty, w które angażuje się widzów. W innym swoim show wkładała buty pożyczone od widzów, próbując wcielić się w ich właściciela.

Wciąganie widza do przedstawienia nie jest wcale wynalazkiem współczesnego teatru. Zaczynając wyliczanie takich praktyk od przysłowiowej starożytności, trzeba wrócić do komedii greckiej. W prowadzonych dialogach aktorzy wyśmiewali zgromadzonych w amfiteatrze widzów, przedmiotem swoich żartów czynili konkretne osoby znane publiczności, które nierzadko także oglądały dany spektakl. W latach 40. XII wieku w Niemczech wystawiano alegoryczną sztukę „Szyk cnót” autorstwa mniszki, mistyczki i wybitnej intelektualistki przeoryszy Hildegardy z Bingen. Zgodnie z jej zamierzeniami w finale sztuki zgromadzeni w kościele widzowie klękali, by mógł ich oświecić Pan Bóg. Kilkaset lat później w Anglii i Szkocji wielką popularnością cieszył się Robin Hood. W odgrywanych tam na przełomie XV i XVI wieku grach o szlachetnym rozbójniku

PORTRET ONLINE NUMER 51 STRONA 28

widzowie kupowali za pensa odznakę, dzięki której mogli się poczuć członkami wesołej kompanii.

Niektórzy widzowie, być może znudzeni oglądaniem przedstawień pokazywanych na scenie, sami inscenizowali je wśród publiczności. Tak się zabawiał w Złotym Wieku teatru hiszpańskiego król Filip IV, rozkazując wpuścić między panie zasiadające zwykle w specjalnie wydzielonej na widowni części zwanej „kurnikiem” sto białych myszek. We Włoszech do teatru wdarł się szal hazardowy. Często publiczność skracala sobie w ten sposób czas na przydługim przedstawieniu. Świadczenia niesubordynacji wśród publiczności - wprawdzie osób nie tak znaczących jak hiszpański monarcha, ale za to szlachty - znajdujemy również w historii teatru polskiego. Pierwsze przedstawienie w publicznym teatrze w Warszawie odbyło się 19 listopada 1765 roku. W relacji jednego ze świadków, szpiega zresztą, czytamy: „Komedia sama w sobie, słusznie, jak wszyscy mówią, może nazywać się polską, gdyż w nadzwyczajnym ścisku tłum, który przybył do teatru, nie tylko okropnie hałasował, ale nadto porządnie przetrząsnął kieszenie, skąd mnóstwo zegarków, tabakierek, chusteczek do nosa etc. postradało właścicieli”. Polscy szlachcice doby oświecenia nie tylko mieli problem, żeby w ogóle kupić bilet do teatru (próbowali się targować o jego cenę), ale też wszedłszy już na przedstawienie, zachowywali się tak, jakby wydane pieniądze pozwalały im na wszystko. I rzeczywiście – podczas przedstawień rozmawiano, śmiano się, widzowie odbywali przechadzki po sali, składali i przyjmowali wizyty w łóżach. Szczególnie uciążliwa wobec aktorów i widzów, którzy przyszli do teatru nie tylko ze względów towarzyskich, była publiczność parterowa. Istniała wtedy nawet specjalna straż mająca zapobiegać ekscesom. Te jednak zdarzały się niezależnie od starań „porządkowych”. W roku 1776 na przykład „jegomość pan Oborski, kapitan, dał w gębę jegomości panu Gaudzickiemu, chorążemu” – zapamiętali niektórzy. (W Hiszpanii o ponad 100 lat wcześniej w sprzeczce o miejsce na ławie poległ Diego Abarca, a jego napastnik don Pablo de Espinosa był o krok od śmierci.) Gdy sztuka się nie podobała, widzowie sykali, świstali na świstawkach, krzyczeli, tupali. W pierwszych latach Narodowego Teatru w Warszawie, ale przecież nie tylko tam i w tym czasie, publiczność była „Wszechwładną Panią” – jak napisała o niej Agata Tuszyńska w książce „Gwiazdy i gwizdy”.

Wpływ publiczności na to, co się działo na scenie, osiągnął największe rozmiary w postaci zjawiska, jakim była (a czy jest?) teatralna klaka. Należałoby może napisać, że chodzi o wpływ na to, co się dzieje na widowni, a dopiero przez to na to, co się dzieje na scenie. Piotr Mitzner w książce „Zagrać wszystko” podaje cennik usług założonego w 1820 roku w Paryżu Biura

Ubezpieczeń na Powodzenie Dramatyczne: zwyczajny poklask powitalny przy wejściu artysty – 5 fr., poklask wzmocniony – 15 fr., poklask trzykrotny – 20 fr., jednorazowe wywołanie – 25 fr., mruczenie przyjazne dla wywołania silnego brawa – 15 fr., śmiech – 15 fr., śmiech „mimowolny” – 10 fr., wołania „jakież to zabawne, jakież dowcipne” – 15 fr. U konkurencji wspomnianego przedsiębiorstwa za 30 franków można było zamówić „oklaski, zrazu przytłumione szmerem niezadowolenia, a następnie skoncentrowane, jak gdyby bezstronna publiczność odniosła triumf nad złośliwą intrygą”.

Publicznością niezwykle podatną na interakcję scena-widownia są dzieci. Miałam okazję się o tym przekonać, oglądając w Teatrze Narodowym „Mikołajkową przygodę”. Święty Mikołaj prosi o dzieci o pomoc w odszukaniu sań (oczywiście z prezentami dla małych widzów), które ukrył gdzieś w teatrze Teatralny Chochlik. Dzieci najpierw więc radzą Mikołajowi, jak przezwyciężyć czary Chochlika („zastawmy pułapkę na Chochlika”), wymyślają zaklęcia mające je znieść, a potem wśród śpiewów i konkursów szukają sań, zwiedzając w ten sposób wraz z Aniołami, Wrózką i Panią Inspicjent teatralne zakamarki. Twórcy nie określili granic wiekowych publiczności, więc wśród Mikołajowych pomocników znalazły się i przedszkolaki, i uczniowie, ale także roczne i dwuletnie maluchy, które nie do końca potrafiły pojąć teatralną iluzję. Gdy na scenę wkroczył Teatralny Duch w płóciennych zwojach zasłaniających twarz i dłonie, przemawiając w dodatku grobowym głosem, siedząca za mną mała dziewczynka z głośnym płaczem dosłownie schowała się mamie pod bluzkę. A kiedy Chochlik wywołał teatralną burzę, przerażonych małych widzów pocieszał doświadczony przedszkolak: „To nie jest prawdziwe!”.

* * *

Łoża, w której siedzą uchwycone na okładce książki Browna kobiety, obramowana jest ciężką bordową zasłoną przypominającą nieco teatralną kurtynę. Patrząc na nie, mamy wrażenie, że nie tylko coś oglądają, ale i same są oglądane. I chyba rzeczywiście tak jest. Nawet teraz, gdy toalety dam zasiadających w łóżach nie są już tak olśniewające. Podczas prawie każdego przedstawienia wśród publiczności rozgrywa się równoległy spektakl. Bo ciemność, która skrywa widownię (oświetlenie podczas przedstawień jedynie sceny zaproponował dopiero Wagner, wcale nie tak dawno przecież), nigdy nie jest na tyle

głęboka, by widzowie zapomnieli, że w pewnym sensie i oni są także aktorami.

Historia teatru,

red. John Russell Brown,

red. wyd. polskiego: Marek Piekut,

Wyd. PWN,

Warszawa 2007.

Marcin Włodarski

Do tego momentu udana przeprawa

„Zeszyty Poetyckie” wydały pierwszy tom wierszy z serii Biblioteka Debiutów pt. „Przeprawa” Grzegorza Kwiatkowskiego, poety urodzonego w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych poprzedniego wieku. Laureat konkursów literackich, znany z publikacji w czasopiśmie, w tomiku zaprezentował 42 wiersze, pokazując, że jest utalentowanym poetą, który pisze intrygujące teksty. Tom ten uważam za jeden z najciekawszych debiutów roku 2008.

Całość nie trzyma się jednej przestrzeni. Wiersze te „odbywają się” w zaskakujących miejscach, dotyczą wielu ludzi, którzy nigdy nie spotkaliby się ze sobą gdyby nie Grzegorz Kwiatkowski, który zgromadził ich, pomógł im spotkać się w swoim świecie, w miejscu zwanym „Przeprawa”. Znalazło się tu miejsce dla Klauna Peppego z miasta Kukuty, którego bohater liryczny zabił. Mieszka tu starsza pani, która w kawiarni Greco zostawiła czarny notes oraz znana skrzypaczka i jej adorator wieszający się na strunie, kiedy ona gra sonatę a-moll. I najstarszy z plemienia, który odważnie poddał się, zamieszkał sam w igloo, by plemię mogło udać się na poszukiwanie ryb, nie

PRZEPRAWA Grzegorz Kwiatkowski



mając w nim niepotrzebnego balastu. Spotkamy tu również żebraka, który był nauczycielem, ale przede wszystkim poznamy białe małpy. I ten wiersz pozwolę sobie zacytować w całości jako ten, który według mnie oddaje doskonale klimat całego tomu, jego powagę połączoną ze specyficznym humorem, dającym nam wrażenie nierzeczywistości. Jakby wszystko to, co wydaje nam się nierzeczywiste miało być właśnie najbardziej dotkliwym elementem tego, co odczuwamy i postrzegamy.

Białe małpy w termalnym stawie

Naokoło stawu jest śnieg

A w powietrzu unosi się para

Nagle małpy stają się niespokojne

(pewnie wyczuły że chcą je opisać)

jedna z nich wychodzi z wody i mówi:

jesteśmy białymi małpami

w termalnym stawie

naokoło stawu jest śnieg

a w powietrzu unosi się para

Niespotykane stworzenia w fantastycznym miejscu, które (przecież mogłoby istnieć) wywołują niepokój. Kanałem, którym jest Grzegorz Kwiatkowski, przedostają się ze swojego świata do nas. W tym niepokoju, drzeniu małpy wyraźnie sobie drwią. Robią to z wdziękiem właściwym tylko białym małpom, nikt nie potrafi tak wychodzić z termalnego stawu, nikt nie spogląda na mnie w taki sposób. Biała małpa może być tu alegorią człowieka lub kogokolwiek, ale cieszę się, że jest przede wszystkim

białą małą.

Taki ton zachowuje większość wierszy Kwiatkowskiego, które często spełniają rolę krótkich, alegorycznych przypowieści, skrywających prawdę o człowieku, o miejscu, w którym się on znajduje. Mimo tego, że są błyskotliwe, nie sprawiają wrażenia głupkowatych, przeciwnie, to wbrew pozorom stonowana i rozważna liryka.

Prócz dojrzałości, specyficznego klimatu, mamy tu również bezpardonową walkę ze stereotypami, bunt przeciw szablonowemu rozumieniu wielu pojęć. Zresztą, sam język, słuch literacki poety nie jest szablonowy. I właściwie Kwiatkowski nie musi się zajmować klarownie zdefiniowanymi pojęciami. Nie moralizuje, nie krzyczy: „to jest złe, tamto złe, powinno być tak...”. Po prostu pisze nietuzinkowe wiersze. Pisząc o śmierci nie stawia nas przed ścianą płaczu. Pokazuje człowieka, który tuż przed śmiercią jest przede wszystkim tym kim jest od lat, kimś zwyczajnym, który zajmuje się swoimi sprawami:

Kiedy umierałeś mieliśmy styczeń najcieplejszy od trzystu lat

Resztką sił podszedłeś do okna i powiedziałeś:

Nareszcie spadł śnieg

(melisa szałwia i mięta)

Język tych wierszy, podobnie jak rekwizyty i ludzie, pochodzi ze świata dotkliwie bliskiego autorowi, ale przechodzi one odpowiednią kurację zanim znajdzie się w wierszu, zanim będzie oznaczać wiersz. Dzięki niej nie tyle nazywa rzeczy, ile stara się dotrzeć do tajemnicy lub otworzyć ją przed nami. Tu amazońskie wzgórza mogą pojawić się nieoczekiwanie, ale nie będą sprawiały wrażenia czegoś niestosownego. Wraz z pojawieniem się stanowią nieodzowny element całego świata tomu „Przeprawa”.

To niewątpliwie udany debiut. Ta książka to bezpretensjonalna i niebanalna legenda, podróż po niezwyklej wystawie ludzkich osobowości, po przypadkach kolejnych bytów snujących się w głowie autora. W każdej z tych postaci jest trochę z czytelnika, kimkolwiek by nie był. Potrzeba jednak wysiłku wyobraźni, byśmy mogli pójść śladami poety, który ma w owej galerii

niezłą przeprawę. Poszukiwanie, odkrywanie, próba wyznaczenia nowego szlaku nigdy nie należy do prostych zadań. Do tego momentu (wydania książki) jest to udana przeprawa. Oby pozostałym czytelnikom chociaż po części udało się to, czego dokonał Grzegorz Kwiatkowski.

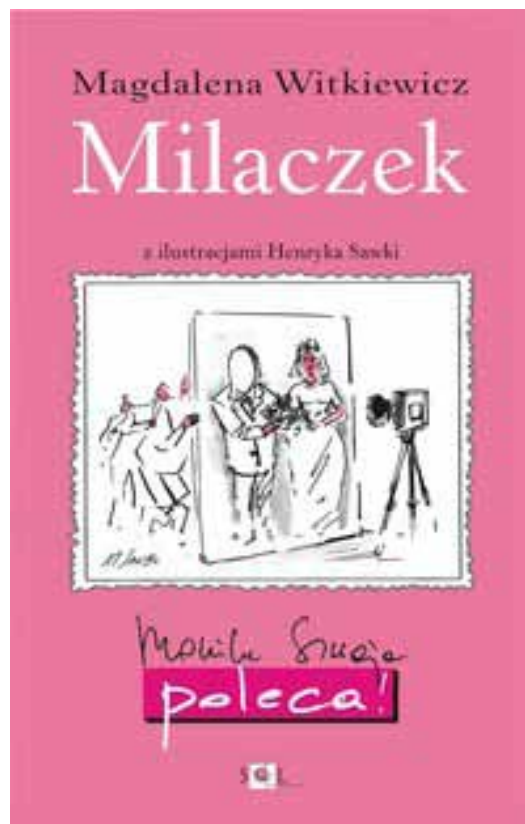
Grzegorz Kwiatkowski,
Przeprawa,
Wyd. „Zeszyty Poetyckie”,
Gniezno 2008.

Marta Skłodowska

Kawałek niezłej rozrywki

Książek lekkich, ławych i przyjemnych jest na naszym rynku całe zatrzęsienie. Większość trąci banałem, a często jest w nim zanurzona całkowicie. Jeśli na dodatek jest to romans, zwykle mamy do czynienia z harlequinem. Równie niewielu autorów próbuje wydostać się z zakłętego kręgu romansów z kioskowej lady. Niezmiernie rzadko, pisząc o miłości, twórcy wychodzą poza te szablony. Tym bardziej Magdalenie Witkiewicz należy się duży plus za jej debiutancką książkę pt. „Milaczek“, która przed tymi banałami zdecydowanie się broni.

„Milaczek“ to, oczywiście, opowieść o miłości. Tytułowa bohaterka – Milena, jest zakompleksiona i ma o sobie naprawdę kiepskie zdanie. W swoim dwudziestosześcioletnim życiu ciągle się odchudza z nieznacznej nadwagi, upatrując w niej źródło wszelkich nieszczęść, jakie ją spotykają. Już na początku książki poznaje statecznego dentystę podesłanego przez ciotkę – Zofię Kruk. To przysłowiowy strzał w dziesiątkę. Owa ciotka jest bardzo wyrazistą postacią w powieści, to ona nadaje tempo całej historii. To od tej bogatej, wyzwolonej wdowy w średnim wieku wszystko się zaczyna. Ciotka dodaje pikanterii i humoru wszystkim opisywanym historiom, głównym i pobocznym. Ogromnie wyrazisty, choć wydawać się może, że poboczny, wątek stanowią perypetie Bachora i Jacka, którzy są najbardziej zabawnym duetem w książce. Bachor, czyli 7-letnia Zuza, niejednokrotnie zaskakuje odwagą i dobrym, wrażliwym sercem. Jedynie za co można skrytykować twórczynię tej postaci to przewidywalna i szablonowa, przesadna dojrzałość Bachora, który dochodzi



do wniosków tyleż zabawnych, co przesadzonych, jak na swój wiek.

Witkiewicz zaprezentowała powieść inteligentną, napisaną bardzo lekkim, ale pełnym smaczków stylem. Jej debiut można z pewnością uznać za udaną publikację, która znajdzie swoich zwolenników i fanów, właśnie za tę nie do końca przewidywalną historię o związku, który prowadzi do miłości. Autorka, przynajmniej kilkakrotnie, udowadnia, że o uczuciach damsko-męskich można pisać bez przesadnej egzaltacji, posługując się za to humorem i dystansem nie tylko do siebie, ale i do świata w ogóle. Dodatkowym walorem książki, dodającym jej uroku, są ironiczne rysunki Heryka Sawki. Są one komentarzem lub dopowiedzeniem do kolejnych rozdziałów. Ich autorem jest mężczyzna, zatem w książce wpisującej się w kategorię literatury kobiecej, są one szczególnym akcentem. Witkiewicz stworzyła lekką powieść, która pozostawia ciepły uśmiech na twarzy i stanowi kawałek niezłej rozrywki.

Magdalena Witkiewicz,

Milaczek,

Wyd. SOL,

Warszawa 2008.

PROZA

ONLINE

51

KWIECIEŃ 2009

Dawid Szkoła

To już ostatni raz

Byłem zmuszony stać w przejściu podziemnym próbując nie sprzedać żadnej książki. Potencjalnych kupców odstraszałem wysokimi cenami, krzykami i groźbami. Jeśli to nie skutkowało – przeklinałem i obrażałem.

Po ile „Dziennik” Tyrmanda? – pytał facet o pызatej i sprawiedliwej twarzy.

Trzydzieści – rzucałem pod nosem, nawet nie patrząc na niego.

A to ten od „Złego”?

Nie, ten od „Dobrego” – odpowiadałem z pogardą.

Najczęściej takie odnoszenie się do ludzi wystarczało, ale od czasu do czasu przytrafiał się klient wyjątkowo upierdliwy, który za wszelką cenę chciał kupić jakąś książkę należącą do mnie. A ja nie mogłem sprzedać żadnego tytułu. Sam ciężko pracowałem na każdą z nich; czytałem i kartkowałem je wiele razy. Nie miałem serca oddać w obce ręce nawet najgorszej powieści należącej do mnie. Musiałem jednak jakoś zdobyć pieniądze na opłacenie kawalerki, w której mieszkałem razem z Anną. Miała 27 lat i pracowała jako sprzątaczką w szkole podstawowej. Ja byłem od niej młodszy o trzy lata i zajmowałem się czym popadnie. Akurat zimą zawsze było mniej roboty i od miesiąca nie mogłem nic znaleźć. Dlatego Anna kazała mi chodzić

i sprzedawać te kawałki nikomu niepotrzebnej makulatury, jak nazywała moje książki.

Chciałbym kupić „Zwrotnik Raka” – usłyszałem kobiecy głos, kiedy ogrzewałem dłonie chuchając do ich wnętrza.

Trzydzieści złotych.

W księgarni kosztuje trzydzieści – odpowiedziała.

To czterdzieści.

Słucham?

Pięćdziesiąt.

Wariat.

Od pięciu dni wracałem do domu z tymi samymi książkami, z którymi rano wychodziłem na miasto i, z ukrywaną dumą, stawiałem je na półce. Annie tłumaczyłem, że ludzie literatury już nie czytają, a tym bardziej nikt jej nie kupuje. Wierzyła, zbyt lotnego umysłu nie miała, a jedyne książki, jakie zapewne w życiu przeczytała, były podręcznikami w podstawówce.

Po zagraniu się w kawalerce z powrotem wychodziłem na zewnątrz w poszukiwaniu pracy, a zwykle kończyłem z jakimś starym znajomym pijąc piwo w barze czasem wino w mieszkaniu. A kiedy wracałem wysłuchiwałem pokornie i obojętnie jej wyrzutów jakim to jestem złym człowiekiem i pijakiem. Nie odzywałem się, nie lubiłem z nią rozmawiać w takim stanie: mojego upojenia i jej egzaltacji.

Kiedy kończyła krzyczeć, uspokajała się na tyle, że paliła papierosa przy oknie, podchodziłem do niej, obejmowałem ją w tali i całowałem po szyi. To był taki nasz formalny sposób przebaczenia sobie. Kiedy więc była całkowicie spokojna brałem ją w tym samym miejscu gdzie paliła papierosa, a jeśli jeszcze jej ciałem wstrząsały nerwy, kończyliśmy tę całą dramatyczną scenę na łóżku. Zawsze wygląda to w ten sam sposób i za każdym razem podniecał mnie zapach jej ciała, kiedy kończyła krzyczeć. Sztuczne światło latarni wpadało przez okno oświetlając jej zgrabne ciało, małe piersi i czarny kosmyk włosów na czole. Oddychała lekko i spokojnie. Płaski brzuch idealnie przechodził w delikatnie porośnięty wzgórek łonowy. Szczupłe nogi były

zaś idealnie dopasowane do reszty jej ciała. Spała mocno.

Jeszcze godzinę temu krzyczałaś, że się zabijesz, utopisz w rzece, jeśli dalej w ten sposób będziemy żyli. Zalewałaś się łzami, rzucałaś ciężkimi przedmiotami, a teraz leżysz spokojnie, odkryta i piękna. Pozostaje tylko gorzki posmak w ustach, odrętwienie i powolne odpływanie w sen i ciepło. Rano się obudzimy, zrobimy to jeszcze raz; powiesz, że mnie kochasz, pójdziesz do pracy, a ja będę musiał znów iść marznąć na dworze i będę próbował nie sprzedać żadnej książki. Gdyby którakolwiek z nich była prezentem, spadkiem, szczęśliwym znaleziskiem, sprzedałbym ją. Wszystkie jednak są moje, kupione za moje pieniądze, wielokrotnie przeze mnie czytane, kartkowane.

Śniła mi się noc świętego Bartłomieja z wiersza Milana Dedinaca. Zjawiali się panowie w czarnych garniturach, maskach, wyjmowali noże, szli za mną, słyszałem strzały. Krzyczeli, że to nie jest moje miejsce, a ja uciekałem przed nimi. Później zobaczyłem ciebie jak pokazywałaś na mnie palcem i krzyczałaś żeby mnie złapali. Pokazywałaś im moje książki, które niszczyli.

Następnego dnia poranek był wyjątkowo przygnębiający. Za oknem szalała zamieć, a szare niebo zlewało się z szarymi budynkami. Nie chciałem wychodzić z książkami, leżałem z otwartymi oczami i patrzyłem, jak ona zakładała na siebie niebieskie, wąskie spodnie, czerwony sweter, spinała włosy, przeglądała się w lustrze. Niepokoiło mnie to. Od dawna nie nosiła tego swetra, nie przeglądała się rano w lustrze z taką dbałością. Coraz więcej rzeczy mnie niepokoiło, robiło zamieszanie, zachowywało się niekulturalnie wewnątrz mnie, szarogęsiło się.

Dzisiaj nie wychodzę – powiedziałem nie swoim głosem.

Nie odpowiedziała; przyglądała się mi dłużej, podeszła do łóżka, na którym usiadła. Dotknęła mojej głowy, a ja poczułem, jak pode mną otwiera się czarna dziura. Zamknąłem oczy; otworzyłem je po kilku sekundach, a jej już nie było.

Ciebie już nie było. Wypiłem garnuszek kawy, wypaliłem dwa papierosy, poszedłem zrobić zakupy na obiad: kiełbasa, sos,

makaron – razem pięć złotych. Wróciłem do kawalerki z myślą, że później zrobimy razem wspólny posiłek. Wyszedłem znowu na miasto szukając odpowiedniego miejsca, odpowiednich ludzi, odpowiedniej pracy. Potrzebowałem pracy, potrzebowałem motywacji. I, co najważniejsze, potrzebowałem spokoju.

W barze przybywało ludzi, a zza gęstego dymu tytoniowego wyzierały coraz bardziej pijane twarze. Powietrze stawało się śmierdzące, a hałas nieznośny, usypiający i mdlący.

Zaziorski – wołał na mnie kolega, z którym kiedyś pracowałem przy sprzątanii budynków – napij się jeszcze jednego.

Chciałem odpowiedzieć, że już nie chcę, że muszę wrócić do kawalerki, do Anny, ugotować z nią obiad, choć wiedziałem, iż na to jest za późno przynajmniej o pięć godzin.

Już po ostatnim, kolego, po ostatnim – wyszeptalem.

Co tam mamrocześ?

Czy nie masz żadnej pracy do załatwienia?

Nie w zimę Dawid, nie w zimie. Sam wiesz, jak to wygląda.

Piliśmy jeden kieliszek za drugim przepijając wódkę małymi łykami piwa. Ludzie stawali się nieznośni i przytłaczający. Chciało mi się spać, rzygać, uciekać, ale nie miałem na żadną z tych czynności siły. Tylko piłem i paliłem na cudzy rachunek. Każdy chciał mi postawić piwo, poczęstować papierosem, znając moje fatalne położenie. Wszystko toczyło się bardzo szybko.

Później wróciłem do Ciebie. Krzyczałaś, biłaś pięściami w kołdrę, płakałaś i znów mówiłaś, że rzucisz się do rzeki. Próbowałem cię uspokoić, ale słowa nie przechodziły mi przez gardło. Chciałem zdjąć spodnie, ale potknąłem się i upadłem na podłogę. Wtedy przestałaś krzyzczeć podbiegając do mnie w samej koszuli nocnej, w żółtej, wiesz że to moja ulubiona. Pomogłaś mi się rozebrać, umyłaś mi dłonie i twarz, które musiałem pociąć sobie wywracając się w drodze do domu. Mówiłaś, że będzie

dobrze.

Obudziłem się po czwartej, a ona leżała obok mnie w tej samej pozie co zawsze. Przez głowę przeleciały mi kawałki dnia poprzedniego, krótkie rozmowy w barze, wszędobylski dym papierosowy i mdły zapach pijaństwa. Teraz nawet nie chciało mi się zabijać gorzkiego posmaku w ustach. Chciałem ją obudzić i powiedzieć cokolwiek dobrego. Nie powiedziałem jednak nic. Nadal leżałem lekko odrętwiały od bólu w plecach i rękach, które miałem bardziej pozdierane niż myślałem. Wtedy ona przewróciła się na bok i przybliżyła się na tyle, że mogłem poczuć jej oddech na swojej szyi. Ciepło zaczęło mnie ogarniać i usypiać. Czuję jakbym wchodził do czystej, przyjemnej wody i tylko to było dla mnie ważne.



Dawid Szkoła – ma 23 lata, studiuje dziennikarstwo na Uniwersytecie Wrocławskim. Pochodzi z małej miejscowości o nazwie Zgłobień leżącej na Podkarpaciu.

KONIEC

ONLINE 51
KWIECIEŃ 2009